

## Strzeżmy się paraliżu legislacyjnego

Autor tekstu: **Mirosław Soroka**

### Restrukturyzacja szkolnictwa

**D**wa lata temu, na pierwszej konferencji poświęconej poszukiwaniu modelu szkoły wyższej, mówiłem „O absolutnej konieczności restrukturyzacji szkolnictwa, zwłaszcza wyższego, i nauki”, a w ramach tego wykładu, a następnie w dyskusji, omawiałem problem konieczności zmiany regulacji prawnych dotyczących dokumentów i dokumentacji studiów. Zobowiązałem się wówczas wobec słuchaczy (wśród których byli wysokiej rangi przedstawiciele MEN i parlamentarzyści) do tego, że napiszę memoriał w tej sprawie do ministra edukacji narodowej, do którego ustawa delegowała stosowne uprawnienia. [Dotrzymałem słowa](#).

Zrobiłem to tylko dla Was, uczestników tej konferencji i dla wszystkich PT studentów. Moje dotychczasowe doświadczenia w tej materii są jak najgorsze. Przez ponad 15 lat w imieniu własnym, a także w imieniu rozmaitych gremiów, wysyłałem podobne memoriały wszystkim, bez wyjątku, „właściwym” ministrom. Bez skutku. Również i tym razem ministerstwo nie podjęło na ten temat dyskusji, mimo złożonej publicznie obietnicy. Pani Minister nawet nie odpowiedziała na mój list i memoriał, co narusza dobre obyczaje. W tym memoriale szczegółowo uzasadniam dlaczego koniecznie trzeba zmienić dokumentację studiów i dokumenty studenta. Uzasadniam również dlaczego te sprawy powinny być wyjęte z zakresu decyzyjnego jakiegokolwiek organu centralnego. W końcu zarząd lub rektor może nadać w swojej uczelni dokumenty jakie chce. Od dawna każda uczelnia ma ku temu odpowiednie środki techniczne. Może stworzyć dowolny obieg dokumentów. Z pożytkiem dla studentów i nauczycieli akademickich. W dodatku, na świecie istnieją tysiące dobrze zorganizowanych uniwersytetów, które mają wzorcowe obiegi dokumentacji i nienajgorsze dokumenty. Po co więc ponownie odkrywać koło. Wystarczy kupić licencję, co, jak każdy inżynier o tym wie, pozwala na szybkie nadrobienie straconego czasu i podniesienie poziomu technologii.

Nie! Zaglądam na stronę WWW Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu i co widzę? Ministerstwo przygotowuje nowe rozporządzenie w tej sprawie i publikuje w internecie projekt tego rozporządzenia. To rozporządzenie niczym się nie różni od tego co już było. Projekt nie tylko narzuca uczelniom archaiczny sposób prowadzenia dokumentacji studiów, ale również powieliła znowu te same błędy, te same wzory bardzo kiepskich legitymacji, dyplomów, indeksów, itd. Przecież to jest nonsens! Ta drobna sprawa, która nie wymaga żadnych procedur legislacyjnych, a jedynie jednego popisu „właściwego” ministra, toczy się tylko z moim udziałem już 15 lat! I my chcemy coś znaczyć, coś zrobić w Europie? Jeśli przez 15 lat nie można było załatwić tak głupiej sprawy? Nigdy! Według moich szacunków, rozsądną cywilizację w Polsce i Europie będziemy mieć za jakieś 2500 lat, biorąc pod uwagę zwykłe, proporcjonalne obliczenia.

Pozostanę jeszcze chwilę przy szkolnictwie wyższym. Znowu powróciła sprawa nowelizacji uwarunkowań prawnych szkolnictwa wyższego w Polsce. Tym razem, grupa samozwańczych ustawodawców-ekspertów napisała nowy projekt ustawy, który został w świetle jupiterów przekazany Prezydentowi Rzeczypospolitej, który, jak się wydaje, przyjął projekt z zainteresowaniem. Zatem, grozi nam nowa ustawa.

Dlaczego nikt dobitnie i wyraźnie nie powie, że ta ustawa jest po prostu zbyteczna! Jest po prostu do niczego niepotrzebna. O ile ustawa o szkolnictwie wyższym jest tylko zbyteczna, to, muszę z całą stanowczością dodać, że ustawa o stopniach i tytułach naukowych jest szkodliwa społecznie! Daje bowiem nie tylko przyzwolenie, ale wręcz nakazuje uczonym zajmowanie się działalnością zastępczą! Pozwala na to, że uczeni zamiast zajmować się wyłącznie badaniami naukowymi i dydaktyką, zadowolając się przy tym jakimś tam marnym stopniem doktora (przepraszam tych wszystkich, którzy akurat go mają), zajmują się niemal wyłącznie wyścigiem do stopni i tytułów naukowych, do funkcji i stanowisk. Nadajemy sobie wzajemnie jakieś tytuły, a to przed nazwiskiem, a to po nazwisku, a to przed nazwiskiem i po nazwisku, piszemy rozporządzenia w tej sprawie, powołujemy rozmaite organy, których zadanie polega na staniu na straży ..., przecież to jest nonsens. Wspomnę tu o osiągnięciu organizacyjnym pewnego profesora, które polegało na przewodniczeniu komitetowi

stołówkowemu! Sic! Jeszcze jestem w stanie zrozumieć dlaczego tzw. środowisko naukowe nie protestuje przeciwko temu, ale dlaczego społeczeństwo to dalej toleruje, tego już zrozumieć zupełnie nie mogę! Przecież sprawy personalne zajmują już w tej chwili bodaj 90% czasu posiedzeń organów kolegialnych, zwłaszcza rad wydziałów. W dodatku, większości uczonym, którzy najczęściej dają się na władzę polityczną, jakoś nie przeszkadza, gdy ta władza wręcza im nominacje profesorskie.

Już po poprzednio dokonanej nowelizacji ustawa o szkolnictwie wyższym jest gorsza aniżeli analogiczna ustawa z okresu stalinowskiego. Zabiera ona absolutnie wszystkie prawa, które uczelnia miała, zwłaszcza po naszej aksamitnej rewolucji. Zabiera prawa, które mieli studenci i nauczyciele akademicy. Proszę przeczytać! Minister może ..., minister nadaje ..., minister to, minister tamto, itd. Minister może nie tylko narzucać plany i programy studiów (znowu wróciły skompromitowane pojęcia z minionej epoki, a mianowicie: „sylwetka absolwenta” i „potrzeby gospodarki narodowej”), ale może również ingerować w treści programowe, a zatem może ingerować w to co ja mówię na swoich zajęciach i ma możliwość (nie tylko teoretycznie) zabrania mi prawa do wygłaszania mojego sztandarowego wykładu o etycznych problemach nauki, mimo tego, że akurat ten wykład podoba się studentom i doktorantom, o czym świadczy bardzo duży czas połowicznego rozpadu grupy na tych wykładach [J. Sworakowski]. Nie spodoba się komuś, to mi minister go najnormalniej w świecie zlikwiduje! Nie będę tej ustawy szczegółowo omawiał, ani nie mam zamiaru porównywać jej do tej z okresu stalinowskiego. Każdy, kto zechce może to zrobić sam.

Być może powinienem jednak to wszystko czym zajmuje się ministerstwo drobiazgowo i z zimną krwią pokazać! Dlaczego? Bo jest to dowód, że strategiczne organy państwa zajmują się, przepraszam Państwa za wyrażenie, duperelami! Przecież nie może tak być, żeby minister brał na swoje barki wszystko, co tylko się może w całym państwie i całej, przebogatej przecież, edukacji zdarzyć. Jak Państwo sobie wyobrażacie możliwość skutecznej kontroli przez ministra tego wszystkiego, co jest zapisane we wszystkich ustawach i zarządzeniach? Przecież to jest fizycznie niemożliwe. Jeśli policzymy ile razy występują delegacje do decyzji ministra i wykluczmy, o czym już była mowa, możliwość wyręczania się przez ministra swoimi pracownikami, a następnie damy mu tylko 5 minut na decyzję w każdej sprawie, to zapewne wyjdzie nam w wyniku kilka tysięcy lat czasu pracy.

W tych ustawach i rozporządzeniach jest również mnóstwo innych absurdalnych regulacji. Dlaczego w czymś, co ma rangę ustawy, wpisuje się na przykład jaki ma być stosunek liczby studentów do liczby nauczycieli. Pomijając już fakt, że nie są to parametry technologii edukacji, a parametry polityczne, a więc nieoznaczalne, to cóż to może obchodzić ministra? To powinno obchodzić podatnika, albo osobę działającą w jego imieniu. W uczelni prywatnej powinno to być jeszcze prostsze. Decyzję podejmuje rektor albo kanclerz tej uczelni. I koniec. A tu zapisuje się w ustawach i rozporządzeniach rozmaite liczby, przy czym te liczby są najczęściej nonsensowne. Na przykład, nie rozumiem dlaczego akurat stosunek liczby studentów do liczby nauczycieli powinien wynosić 60 do 1 dla kierunków matematyczno-fizyczno-chemicznych, a, moim zdaniem, dla znacznie trudniejszego kierunku studiów technicznych aż 90 do 1. Te liczby wynikają z przetargów politycznych i są typowym przykładem syndromu podziału, jeśli nie tortu, to chleba!

Zapominając o mądrym pytaniu senatora rzymskiego „A kto będzie kontrolował kontrolerów?”, generujemy wreszcie coraz więcej organów kontrolnych, nadzorujących, itp. Jakby nam mało było tego co wyprawiała Rada Główna, wygenerowaliśmy kolejny zbyteczny organ, który się nazywa Państwowa Komisja Akredytacyjna. O „pace” mógłbym wygłosić całosemestralny wykład. Zaczęło się niewinnie. Najpierw była mowa o dobrowolnej akredytacji, której zwolennikami były tzw. uczelnie akademickie, a zwłaszcza uniwersytety. Powstała nieformalna UKA, ta się przekształciła w BUKA, po czym, mimo wielu protestów, wprowadzono ten organ do ustawy, zapominając o tym, że poprawa stanu wyższych uczelni w Polsce wymaga przede wszystkim głębokiej restrukturyzacji i olbrzymich nakładów finansowych, a nie rozbudowywania organów kontrolnych i nadzorujących.

Każda akredytacja jest oczywistym nonsensem! Wszystko na tym świecie akredytuje się automatycznie! Po co zatem powoływać Państwową Komisję Akredytacyjną? Nie było i nie ma najmniejszego powodu. Jestem takim samym uczonym i nauczycielem akademickim jak członkowie tejże komisji. Dobitnie chciałbym powiedzieć, że w moim przekonaniu, jeśli mówimy o wolności akademickiej, o karcie bolońskiej, albo o innych górnołotnych aktach, to chciałbym przypomnieć najwyraźniej zapomnianą już prawdę, która towarzyszy uniwersytetom od początku ich istnienia, a mianowicie „wszyscy służy Bogini Mądrości są sobie równi”. Na

prawdziwym uniwersytecie jeden profesor nie może zatem mówić drugiemu profesorowi tego, co on ma robić! Nie może go oceniać. Od tego jestem profesorem, jestem nauczycielem akademickim, żebym wiedział co ja mam robić w swoim zakresie. Przypomnę, że każdy z nas przechodzi przecież prawdziwie krzyżową drogę weryfikacji i oceny. Jeśli Państwo powoła kolejne organy kontrolne, weryfikujące, programowe, akredytacyjne, jakieś tam rady, komisje, senaty, a te organy będą mnie pouczać, będą mi mówić co ja mam robić — to niech to sobie robią sami! Ja udaję się na wewnętrzną emigrację i zajmę się jakąś inną robotą!

Za tzw. „komuny” nikt mi się nie wtrącał do moich stosunków z moimi studentami. Nikt. Pod warunkiem, że akceptowałem socjalistyczne wartości, a muszę się niestety uczciwie przyznać, że je akceptowałem. Zresztą, czy tylko ja? Czy wszyscy już zapomnieli o co chodziło w słynnych 21 postulatach? O kapitalizm? Nie! Chodziło o socjalizm! Socjalizm tak, wypaczenia nie! Chodziło o socjalizm z ludzką twarzą. Czy elity polityczne zapytały w referendum Naród Polski o zgodę na transformację ustrojową? Nie przypominam sobie, a zatem, czy nasz obecny ustrój jest legalny?

W ten sposób doszliśmy do ustawy zasadniczej. Dyskusję nad [Konstytucją Trzeciego Maja](#) pominię, aczkolwiek ciągle się dziwię się, że świętujemy z powodu opublikowania tak marnego dokumentu.

Ten dokument jest naprawdę bardzo kiepski, ale kiepskie są również kolejne projekty naszych ustaw zasadniczych i same ustawy. Zapisy w konstytucji są albo nadmiernie górnolotne, albo tworzą zobowiązania państwa i obywateli, których spełnienie jest, z inżynierskiego, technokratycznego punktu widzenia nierealne. Taką wadę mają wszystkie projekty, a zwłaszcza tzw. projekt „obywatelski”. Przecież to jest nonsens. Konstytucja ma być prawem, które stanowi o czymś wprost i jest dla każdego zrozumiałe. Nasza aktualna konstytucja również mi się nie podoba, jednak nie będę jej szczegółowo analizował. Za późno ...

Moim zdaniem najlepszą na świecie ustawą zasadniczą jest [konstytucja ZSRR z 1936 roku](#). Kiedyś pokazałem fragmenty angielskiego tłumaczenia tej konstytucji (starannie usuwając słowa komunizm, ZSRR, itp.), zadając moim rozmówcom pytanie: jakiego kraju jest to konstytucja? Najwięcej ludzi odpowiedziało — Francji! Jest to zrozumiałe, bo to Francja jest kolebką wolności, równości i braterstwa, a Marsylianka jest nie tylko hymnem Francji i Francuzów. Spytałem, czy może Polski? Nie! Któżby w reżimie komunistycznym dopuścił taką konstytucję?! A to jest konstytucja ZSRR, tzw. stalinowska, uchwalona w 1936 roku! Pamiętam, że z autentycznym wzruszeniem czytałem ją jako młody człowiek w szkole elementarnej.

Jest w niej nie tylko wolność słowa, wolność druku, wolność zgromadzeń, wolność wyznania, ale, mało tego, państwo radzieckie zapewnia środki, żeby z tych wolności obywatel mógł skorzystać! Jeśli przypomnimy sobie jak bardzo były wówczas ograniczone prawa obywatelskie, zwłaszcza mniejszości, w USA, to nic dziwnego, że ruchy wolnościowe na całym świecie nierzadko się odwoływały do zapisów tej właśnie ustawy zasadniczej. Podobne konstytucje uchwalono we wszystkich republikach radzieckich.

I co z tego? Co z tego, że naród radziecki miał tak wspaniałą konstytucję? Rzeczywistość była zupełnie inna, co dowodzi, że generowanie nadmiernej liczby praw i zapisywanie ich na papierze, nie ma najmniejszego sensu, a nawet jest społecznie szkodliwe. Od niepamiętnych czasów mówią nam o tym rozliczne przekazy — zacytuję celny wierszyk Jana Sztudyngera — „Bajka o prawach”.

## **BAJKA O PRAWACH**

### **Jan Sztudynger**

Postanowiono w lesie wreszcie wydać prawa,  
Co może robić niedźwiedź, co lis, co trawa.  
Uradzono przepisy, nowe, ustawy,  
Osobno dla niedźwiedzi, dla lisów, dla trawy.  
A potem prawodawcy, co prawa wydali,  
Schodzili w bok przed misiem,  
A trawę deptali...

Spośród wielu przyczyn upadku Rzymu, nie mogę wykluczyć właśnie nadmiernego ustawodawstwa, które, jak się sądzi, dało podwaliny pod prawo europejskie, ale które nie było niedostosowane do państwa federacyjnego w stanie ciągłego rozwoju i przemian. Wspomnę Racionalista.pl

tylko o prawie, które stanowiło, że syn musi pracować w zawodzie ojca, co, jakbyśmy powiedzieli współczesnym językiem, miało ustabilizować rynek pracy i rosnące bezrobocie. Jeśli moja hipoteza jest słuszna i jeśli rzeczywiście taka była najważniejsza przyczyna upadku Cesarstwa, to biada nam! Czyż nie możemy po prostu normalnie żyć? W naszym życiu powinniśmy się skoncentrować na naszych sprawach codziennych, lokalnych i prywatnych. Ma być szkoła wyższa w Legnicy? Niech sobie będzie! Niech ktoś weźmie na siebie ryzyko finansowe, ktoś inny ryzyko organizacyjne — logistykę, a jak ktoś mnie zaprosi do tej szkoły, żebym był wykładowcą, to jest kwestia ustalenia ceny, tak jak na rynku. To jest kwestia kontraktu. Jak ktoś chce zapłacić za studia w tej szkole? Niech sobie studiuje, jak przystało na wolny demokratyczny kraj. Przecież to wszystko dzieje się dobrowolnie. A nie, żebyśmy się kierowali „duchem ustawy”, nie wiem co to znaczy, albo, co gorsza „interese państwa”, albo „potrzebami gospodarki narodowej”, albo „interese narodowym”, ... Po co?

Zajmijmy się wreszcie regulacjami najniższego szczebla. Są nimi z pewnością regulaminy, na przykład studiów. Regulaminy studiów, jak wszystkie akty prawne ilustrują pewne zjawisko społeczne, którego istota polega na istnieniu naiwnej wiary, że wystarczy tylko napisać o tym jaki powinien być świat, a on zaraz taki będzie. Regulaminy studiów żyją swoim życiem, a my je coraz bardziej czujemy. Wróć znowu do regulaminu, który mam jeszcze z okresu stalinowskiego, gdzieś tam z początku istnienia mojej Alma Mater. Uczelnia istniała już ze dwa, albo trzy lata i, o zgrozo, nie miała regulaminu studiów. Więc minister wprowadził „jednolite” regulaminy studiów. Ten regulamin był znośny. Był krótki. Był zrozumiały.

A co czytamy w [aktualnym regulaminie](#)? *Studia odbywają się zgodnie z zasadami ujętymi w Wielkiej Karcie Uniwersytetów Europejskich*. To jest nieprawda! O tym jeszcze wspomnę. Uczelnia uczestniczy w Europejskim Systemie Transferu Punktów (ECTS — European Credit Transfer System). To także jest nieprawda. Mamy wprowadzić ten system punktów kredytowych, nie wiadomo zresztą po co on został wprowadzony? W wymianie międzynarodowej uczestniczy znikoma liczba studentów, wobec tego po co tworzyć dla nich specjalne zapisy regulaminowe. Ponadto, nawet za czasów największego reżimu zdarzało się, że studenci wyjeżdżali na studia na „zachód” i jakoś to funkcjonowało. W dodatku, jak porównamy nasze doświadczenia z doświadczeniami innych krajów, nawet zachodnich, to większość studentów na całym świecie studiuje możliwie jak najbliżej miejsca zamieszkania, na terytorium swojego państwa i w swoim języku ojczystym. Wyjątkiem są Stany Zjednoczone, które przyciągają olbrzymią liczbę studentów zagranicznych. Jednak również i w USA niewielka liczba studentów wyjeżdża na studia za granicę. Tego typu regulacje mają również aspekt ekonomiczny. Cóż bowiem oznacza modny termin „internacjonalizacja edukacji”? De facto, oznacza „inglizację” edukacji. Dajmy pieniądze na studia do ręki studentom, a nie rektorom, jak to się dzieje w wielu krajach, i pozwólmy studentom podjąć samodzielną, niczym nie skrępowaną decyzję. Co się wówczas stanie? Większość z nich pojedzie na studia do USA. Pojedzie razem z pieniędzmi przeznaczonymi na studia.

W tym systemie ustaw, zarządzeń i regulaminów dotyczących studiów, kryje się również system ocen studentów, czego już zupełnie nie rozumiem. Jako człowiek światły i technokrata nie rozumiem potrzeby stawiania ocen na studiach. Przecież w dawnych uniwersytetach tego nie było. Jestem przeciwnikiem stawiania stopni studentom! Zapisane jest, że „Wstępując na uczelnię, studenci podejmują dobrowolnie obowiązek zdobywania wiedzy.” Dobrowolnie! To po co oceny? Nie potrzebuję oceniać moich studentów. Oni będą ocenieni poprzez napisaną pracę dyplomową, poprzez wykonanie jakiegoś dzieła, poprzez publikacje, patenty, itd. Wystarczy mi, że ktoś sobie przyjdzie i posiedzi na moim wykładzie. Może zada mi pytanie? Podniesie jakiś problem. Weźmie udział w dyskusji. I to mnie całkowicie satysfakcjonuje. Dlaczego mam mu stawiać jakąś trójcę, czy czwórkę z plusem, albo, żeby przychodził do mnie żebrać o podwyższenie oceny, bo mu brakuje do średniej, dzięki czemu może dostać stypendium, albo, żeby przychodziła do mnie wydekoltowana studentka, tak, że przez ten dekolt widać podłogę, i pytała mnie co ma zrobić, żeby dostać piątkę? Przecież również w ocenach istnieje znaczny obszar nieoznaczoności. Wolę wspólną pracę ze studentami, wspólne rozwiązywanie problemów, wspólne studiowanie, ...

Jeśli już muszę przeprowadzić egzamin, to trwa on nie mniej niż trzy godziny, a student może przynieść na egzamin wszystko, co uzna za potrzebne — wszystkie książki, podręczniki, ściągę, itd., a następnie z tym wszystkim zabiera się do rozwiązywania problemów. Idealnym i naturalnym miejscem na każdy egzamin jest oczywiście biblioteka. Czy w Polsce jest chociaż jeden uniwersytet, który ma prawdziwą bibliotekę?

Cóż tam jeszcze? „Przyjęcie w poczet studentów następuje z chwilą immatrykulacji i

złożenia ślubowania, którego treść określa statut uczelni. Po immatrykulacji student otrzymuje legitymację studencką oraz indeks.". Przecież my jesteśmy naprawdę niespełna rozumu. Na wielu wydziałach w Polsce połowa studentów rezygnuje ze studiów w trakcie pierwszego roku „z powodu niezadowolających postępów w nauce”, a my od nich przymusowo (bo nie dostanie legitymacji, indeksu, książeczki zdrowia, etc.) odbieramy przysięgę, że się będą dobrze uczyć! A czy przysięga złożona pod przymusem ma moc prawną? A czy przed sądami świata nie stają fałszywi świadkowie, którzy zawsze przysięgają, że będą mówić prawdę i tylko prawdę? Przecież to jest nonsens! Co mnie obchodzi jak student się będzie uczył (powinien studiować!). Przecież to jest jego problem. Jest dorosłym obywatelem i może sobie robić co chce. Musi w końcu nadejść taki moment w życiu każdego człowieka, od którego wszelka dalsza edukacja przestaje być już przymusowa. Oby jak najwcześniej! Oby jak najszybciej!

Zapis dotyczący „przyjęcia w poczet studentów” jest ponadto niepragmatyczny. Przecież student potrzebuje legitymację i indeks, bo wymaga się ich od niego podczas dokonywania wielu czynności administracyjnych - musi się przecież zapisać na kursy, musi się zapisać do biblioteki, jeździ środkami komunikacji, a na nie ma zniżki, itd. Wobec tego każdy rozsądny administrator uczelni czy wydziału, najpierw wydaje studentowi dokumenty, a dopiero później formalnie go immatrykuje, naruszając przy tym z premedytacją zapisy ustawy i rozporządzeń.

Reprezentantem ogółu studentów są organy samorządu studenckiego. Samorząd studencki nie reprezentuje na ogół nikogo, oprócz samego siebie, a w wyborach do organów samorządu uczestniczy mniej niż 5% studentów. W dodatku, jednoosobowe organy uczelni często tymi wyborami i wyborcami manipulują, w najlepszym razie starannie nauczając swoich protegowanych jak się to powinno robić...

Niemal wszystkie uniwersytety europejskie i wielu administratorów edukacji powołuje się ostatnio na „Deklarację Bolońską”, zwaną poprawnie [„Wielką Kartą Uniwersytetów Europejskich”](#). Zapewne nie wszyscy sobie zdają sprawę z tego, że senaty uczelni głosując nad przyjęciem statutów, bądź regulaminów studiów, nie widziały na oczy tego dokumentu. Mam w tej materii osobiste doświadczenie. Cóż takiego podniosłego i ważnego zapisano w tej karcie, że wszyscy się na nią powołują? I ci, którzy ją czytali. I ci, którzy jej nie widzieli na oczy!

Proszę popatrzeć na fundamentalne zasady zawarte w Wielkiej Karcie Uniwersytetów Europejskich. W tych zasadach znajdujemy same górnolotne stwierdzenia, typowe zresztą dla takich dokumentów, a także takie, które określa się jako „wishful thinking”, czyli po polsku „pobożne życzenie”. Rektorzy i administratorzy edukacji krajów europejskich zebrali się w Bolonii z okazji okrągłej rocznicy uniwersytetu, który uchodzi za najstarszy na świecie, wypili trochę doskonałego czerwonego włoskiego wina i przy okazji coś tam uchwalili. Zacytuję najbardziej wzruszające fragmenty: „By sprostać potrzebom otaczającego nas świata, jego [uniwersytetu] działalność naukowa i dydaktyczna musi być moralnie i intelektualnie niezależna od władzy politycznej i ekonomicznej”, albo: „Swoboda prowadzenia badań naukowych i kształcenia jest najbardziej fundamentalną zasadą życia uniwersyteckiego, a rządy i uniwersytety, w miarę swoich możliwości, muszą zapewnić poszanowanie dla tego podstawowego warunku” („w miarę swoich możliwości”? - Co to oznacza?!), czy wreszcie: „Dla zachowania wolności w działalności naukowej i dydaktycznej wszyscy członkowie społeczności uniwersyteckiej muszą mieć dostęp do środków umożliwiających realizację tej wolności”, albo: „Każdy uniwersytet musi — uwzględniając szczególne okoliczności - zagwarantować zabezpieczenie wolności studentów ...”.

W świetle tego dokumentu, którego sygnatariuszami są rektorzy i oficjalni reprezentanci rządów krajów europejskich, wszystkie akty prawne wydane w naszym kraju, a dotyczące szkolnictwa wyższego powinny być natychmiast unieważnione i spalone! Żaden z nich nie jest bowiem zgodny z ustaleniami Wielkiej Karty Uniwersytetów Europejskich! Ustawa o szkolnictwie wyższym narusza oczywiście kartę bolońską. Naruszają ją wszystkie zarządzenia ministra. Naruszają ją statuty uczelni. Naruszają ją regulaminy studiów, nawet jeśli (a może zwłaszcza takie?) się na nią powołują.

Jakąż ja mam „swobodę prowadzenia badań naukowych i kształcenia”? Przecież zgodnie z deklaracją bolońską (i wspomnianą już zasadą „Soroki”), nikt się nie powinien wtrącać do tego co ja robię ze studentem, który dobrowolnie powinien do mnie przyjść po to, żeby wysłuchać moich wykładów, pochodzić na prowadzone przeze mnie inne zajęcia, popracować ze mną semestr lub kilka w moim laboratorium, posiedzieć ze mną w bibliotece, czy nawet w knajpce nad kufelkiem piwa, też oczywiście ze mną. W wolnym świecie, ten student może przyjechać

na mój uniwersytet tylko dlatego, że słyszał gdzieś o Soroce z Wrocławia i jego wspaniałych wykładach i takich samych pomysłach ...

A studenci? Przecież: „Každy uniwersytet musi ... zagwarantować zabezpieczenie wolności studentów...”. Jak to się ma do rzeczywistości? Moim zdaniem wszystkie bez wyjątku uczelnie biorą studentów, za przeproszeniem, za mordę, i ten student ma robić co mu się każe, i do tego nie pyskować! Osobiście jestem zwolennikiem jasnego zapisu regulaminowego dla studentów, a mianowicie: „student dobrowolnie wstępując na uczelnię zrzeka się równocześnie swoich praw obywatelskich i zgadza się, za cenę uzyskania dyplomu, na wszelką poniewierkę!” Przecież nie możemy tak postępować. Nie możemy wszystkiego regulować, choćby dlatego, że edukacja nie może być na każdym szczeblu przymusowa. Być może powinna być przymusowa na szczeblu elementarnym, kiedy człowiek mało się różni od zwierzęcia. Ale od momentu, kiedy człowiek, perswazją czy pasem, zaczyna akceptować powszechne, ogólnie przyjęte wartości, to nie możemy już dalej takiej tresury kontynuować.

Jeśli tak mają wyglądać wolne uniwersytety w naszym kraju, a tak niestety wyglądają również uniwersytety w większości krajów europejskich, to ... wynieśmy się do Australii, albo złożymy petycję i zrobimy referendum, żeby Polska była zamorską prowincją Kanady. Innego wyjścia nie widzę.

### **Mirosław Soroka**

Ur. 1942 r. Chemik, profesor Politechniki Wrocławskiej (Instytut Chemii Organicznej, Biochemii i Biotechnologii), w latach 1990-1996 dziekan Wydziału Chemicznego, reformator szkolnictwa wyższego. Specjalizacje: chemia organiczna, badanie mechanizmów reakcji, chemiluminescencja i spektroskopowe metody wyznaczania struktur związków organicznych. Zajmuje się poza tym etyką działalności naukowej.

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 03-02-2005)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3921) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3921>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz  
Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.  
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest

zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)